

TYGODNIK KATOLICKI

PISMO RELIGIJNE DLA ZIEM ZACHODNICH

Rok VI

Gorzów n.W., niedziela 2 września 1951 r.

Nr 32

Zdrowie duszy

Szpitala, sanatoria, domy wypoczynkowe, rzesze lekarzy są niczym innym, jak sprawdzalnym przejawem ludzkiej troski o zachowanie cennego zdrowia. Trudno spotkać dziś człowieka, któremu obce byłoby nazwiska-symbola w rodzaju: Pasteur, Koch, Roentgen. Wrosły one głęboko w pamięć wszystkich cywilizowanych społeczeństw, a fakt ten stał się realnym wykładnikiem czci, jaką ludzkość otacza tych, którzy swą energię i wiedzę poświęcili pracy, zmniejszającej wydatnie sumę fizycznego zła na świecie. Wokół problemu zdrowia narosła góra przysłów, powiedzonek i wierszy. O zdrowiu pisze ojciec naszej poezji — Kochanowski, a Mickiewicz rozpoczyna „Pana Tadeusza” wierszem, w którym ukochaną Litwę porównuje ze zdrowiem.

Zdrowie ciała jest jednym z najcenniejszych dóbr w skali doczesnej. I nie troska o jego zachowanie, która jest zjawiskiem zrozumiałym i powszechnie spotykanym, winna niepokoić nas katolików. Powinno nas niepokoić co innego, mianowicie fakt, że zbyt rzadko występuje u katolików troska o zdrowie duszy. A przecież człowiek stanowi jedność duchowo-materialną, przecież w tej jedności właśnie pierwiastek duchowy jest niezniszczalny i nieśmiertelny, a więc tym bardziej godny czujnej uwagi i pielęgnacji.

Każde niedomaganie naszego ciała staramy się usunąć jak najrychlej. Panicznie niemal boimy się bólu. Chcemy być zdrowi, silni. Chcemy, aby nasze ciała kwitły i rozwijały się, chociaż zdajemy sobie dobrze sprawę, że kiedyś ów proces wzrostu i rozwoju zostanie zastąpiony równie naturalnym procesem rozkładu i gnicia. Krótkotrwałość życia naszego ciała nie przeraża nas do tego stopnia, abyśmy się z równą sumiennością, zatroszczyli tym, co nie umrze wraz z ciałem lecz żyć będzie wiecznie.

Problem zdrowia duszy odsuwany bywa z reguły na dalszy plan. Choroby duszy nie wywołują na ogół fizycznego bólu, są niewidoczne, zakryte przed oczyma drugiego człowieka powabami ciała. Można o nich na jakiś czas zapomnieć.

Ci, którzy spodziewali się, że po tym wstępie mówić będziemy o skomplikowanych schorzeniach psychicznych i ich terapii — zawiodą się. Mówić będziemy o chorobie nagminnej, dobrze, zbyt dobrze znanej.

Chorobą duszy jest grzech. Człowiek rodzi się co prawda ze skazą grzechu pierworodnego, ale w stanie bezgrzesznych. Wszakże dusza ludzka została stworzona na obraz i podobieństwo Boga — Istoty nieskończonej, czystej i doskonałej. Stan bezgrzeszny jest więc stanem naturalnym, przyrodzonym, rzec by można nawet — normalnym, podobnie jak z punktu widzenia cielesnego, normalnym człowiekiem jest człowiek zupełnie zdrowy, a nie chory. I tak jak ludzi zupełnie zdrowych jest niezwykle mało (pamiętajmy, że nawet katar jest chorobą), tak samo trudno czasami spotkać człowieka idealnie zdrowego pod względem duchowym. Grzeszymy wszyscy. Grzech stał się czymś normalnym, powszechnie, zdawało by się niemożliwym do pokonania. Z trudnością dostrzegamy ludzi chodzących przez całe lata w stanie łaski uświęcającej. A przecież ludzi takich znaleźć można wielu i oni to właśnie stanowią grupę osobników normalnych, ich dusze są obrazami Boga.

Tylko zdrowe ciało funkcjonuje sprawnie, zgodnie z prawami natury ustanowionymi od wieków przez Stwórcę. Podobnie dzieje się z duszą. Pył grzechu, który dostanie się w tryby duchowej maszyny paraliżuje cały organizm. Rzadko kiedy grzech nie powoduje poważniejszych skutków, rzadko kiedy nie pociąga za sobą innego grzechu: z doświadczenia wiemy, że zawsze zakłóca równowagę duchową stając się źródłem poważnych nieraz powikłań. Bohatera katolickiej powieści Greene'a grzech doprowadza do świętokradczego przyjęcia Komunii św. i w dalszej konsekwencji do samobójstwa. Rozkładowa działalność grzechu ciężkiego znana jest każdemu zbyt dobrze z osobistego doświadczenia. Czyż tylko

(Dokończenie na str. 296)

Zwierciadło sprawiedliwości



Narodzenie Najświętszej Maryi Panny

Gwiazdą zabłysła ranna,
Przecudnej wiecznej krasy:
Iż Cię po wszystkich czasach
Zwać będą Czystą Panną!

Dzień 8 września prowadzi nas do kolebki, w której spoczęło cudowne Dziecię — Niepokalana. Radość opromienia serca, bo już zjawiała się wśród znikającej ludzkości Ta, Którą Bóg wyznaczył, by była Matką Jego Synowi — naszemu Zbawcy.

Już niewiele lat — a obietnica ratunku, wyniesiona z raju przez upadłego człowieka, ziści się i Słowo stanie się Ciałem.

„Narodzenie Twoje, Bogarodzico-Dziewico, radość zwiastowało całemu światu” — śpiewa Kościół w hymnie ku czci Maryi Niepokalanej.

Jak to, czyżby do czasu przyjścia na świat Najśw. Maryi Panny, ludzie nie znali radości? Czyżby zatem uśmiech był obcy ich obliczu?

Tak twierdzić nie można. Wszak wspomniałyśmy, zabawy, igrzyska wywabiały rumieńce radości na ustach ówczesnych ludzi. Ale był to uśmiech, nie mający nic wspólnego z prawdziwą radością, której zwiastunką jest Marya.

Świat się weselił — ale nie wszystkim. Gdy jedni przejadali się na ucztach — inni głodem przymierali. Gdy jedni się śmiali podczas zabaw — inni pozbawieni godności ludzkiej, z nienawiścią zbliżali się do swych panów — to niewolnicy.

Wszystkie miejsca w cyrkach były zajęte przez rozbawioną publiczność. Żadni nowożytni, nigdy nienasycony wyczekują, kiedy poleje się krew. Czy krew zwierząt? — Niestety. Lud ten jest zbyt krwiożerczy. By wywołać uśmiech zadowolenia na jego twarzy, musi się polać krew... ludzka. Radują się, kosztem nieszczęścia drugich.

ZDROWIE DUSZY

Dokończenie ze str. 1-szej

dlatego staramy się nie dostrzegać jej, że nie pociąga ona skutków fizycznych, namacalnych? Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że z racji swej niewidoczności choroba duszy jest o wiele niebezpieczniejsza niż dolegliwości cielesne. Ze zranioną nogą biegniemy do lekarza, mając chorą duszę odkładamy jej oczyszczenie na później, kierując się błędnym mniemaniem, że kwestia, kiedy poddamy się leczeniu, jest najzupełniej obojętna. Nic mylniejszego nad takie rozumowanie. Choroby duszy trzeba usuwać szybko, tak jak choroby ciała, jeśli się chce uniknąć ewentualności zarażenia całego organizmu. Nagromadzenie brudu moralnego w duszy pociąga za sobą konieczność poddania się operacji. Operacja ta — jak wiemy — jest spowiedź.

Każdy zna uczucie radości i spokoju ogarniające nas po odbyciu sumiennej spowiedzi. Czujemy wyraźnie, że jakieś cząstki brudne, niepotrzebne, chorobliwe odpadły od nas, że staliśmy się przez to lepsi, szczęśliwsi, bardziej godni miana dzieci Bożych, że wraz z procesem oczyszczenia się wstępujemy do naszych dusz utracone zdrowie i pełne Boże życie. Czujemy się zdolni do pokonywania nowych trudności, przepajamy nas radością i nadzieją na przyszłość. Zabieg operacyjny, jakim jest spowiedź, wyzwała w nas siły, których przedtem nie przeżywaliśmy, odkrywa źródła pogody, ufności i wiary zamulone dotychczas grzechem. Skutki spowiedzi można by lipidamente oddać następującym zdaniem: spowiedź przywraca nas do stanu normalnego, radykalnie leczy choroby duszy. Dlaczego więc tak rzadko korzystamy z tego cudownego środka, który przywraca zdrowie duszy?

Tadeusz Haliuch.

W świetle pochodni z żywych ciał ludzkich bawi się tłum.

Prawdziwą radość ukazał dopiero człowiekowi Chrystus. Dlatego też pełnię prawdziwej radości można osiągnąć tylko w łączności z Chrystusem.

Stąd słusznie Narodzenie Maryi zwiastowało światu radość. Z Niej bowiem narodziło się Słońce sprawiedliwości — Chrystus.

Uśmiecha się do nas cudnie piękne Dziecię — Marya!

— Witaj nam, Córkko umiłowana Ojca Przedwiecznego, Oblubienico Ducha Świętego, Matko Syna Bożego i nasza! — wyrwa się z naszych serc.

Spoglądamy na śliczne rysy twarzyczki tej Dzieciny tak wyróżnionej przez Pana. A myśl nasza i wyobraźnia działa ruchliwie, prowadząc nas w dzieje lat dziecięcych Maryi.

I widzimy, jak to cichutkie, skromne Dziecię, rozwinięte nad wiek, jest aniołem dobroci, prawdziwą pociechą rodziców i otoczenia. Jak — ledwie potrafi pierwsze słowa wymawiać — składa rączką do modlitwy. Jak stara się pomagać w pracy swej matce. Jak, zaledwie 3-letnia, idzie do świątyni, aby tam — zdala od ukochanych rodziców — poznawać zakon Boży, uczyć się miłości Boga, spełniać ciężkie i męczące posługi w przybytku Pańskim.

Maryja, mimo jedynej roli, jaką miała odegrać w dziele zbawienia, jako Matka Boga-Człowieka, była dzieckiem, jak i inne dzieci: wesoła, swobodna, rozszczębiotana. Tylko miała doskonale używanie rozumu

i wolę skłonny więcej do dobrego; nie odczuwała złych skłonności, rozumiała doskonale swą zależność od Boga i dlatego czciła Go, kochała i wielbiła najdoskonalej.

Mimo to jednak pracowała nad zdobyciem cnót, modliła się żarliwie, rażno postępując na drodze zjednoczenia z Panem.

Uroczystość Narodzenia Najśw. Maryi Panny jest dla nas świętem radości. W osobie Maryi czcimy naszą najlepszą Matkę i Opiekunkę na drodze naszego ziemskiego życia.

Uroczystość Narodzenia Maryi istnieje w Kościele świętym od czasów bardzo dawnych. Według odwiecznej legendy pewien świątobliwy zakonnik właśnie 8 września usłyszał śpiewanie i radość aniołów, obchodzących w niebie święto swej Królowej. Nawet godzinę urodzin wyznaczają dawne podania, utrzymujące, że Najświętsza Panna Maryja przyszła na świat o tej porze, o której na niebie pojawia się zorza poranna, a na ziemi spada orzeźwiająca rosa. Stąd zwiemy Matkę Najświętszą w Litaniach Loretańskiej „Gwiazdą zaranną” a w Godzinkach „rosą niebieską”, który cały rodzaj ludzki ożywiła. Rodzice Najśw. Maryi Panny, św. Joachim i św. Anna mieszkali w Nazarecie, a po długich latach gorącej modlitwy wyprosił sobie tę jedyną córeczkę, którą Pan Bóg Synowi Swemu wybrał za Matkę.

Maryja jedna jedyna przyszła na świat nie tylko wolna od grzechu pierworodnego, ale takimi łaskami obdarzona, że od tej

(Dokończenie na str. 287)

Wzajemny stosunek trzech pierwszych Ewangelii

Życie Pana Jezusa było nieprzebranym bogactwem nauk, powiedzeń i czynów. W opisie Jego życia można było umieścić inne jeszcze wydarzenia, przedstawić je w inny sposób i w innym postępowaniu, niż to uczynili synoptycy (św. Mateusz, św. Marek, św. Łukasz). Dowodem tego jest Ewangelia św. Jana, różniąca się od synoptyków zarówno treścią jak i układem.

Jeśli więc tak jest, to uderzające podobieństwo synoptyków nie może być wynikiem przypadku, lecz musi mieć głębsze przyczyny.

Trzy pierwsze Ewangelie są do siebie podobne co do treści i duża jest ich zgodność pod względem układu. Najbardziej różnią się w rozłożeniu materiału, kiedy Ewangelista wkłada w ogólny plan szczegóły opuszczane przez innych, kiedy pewne powiedzenia Jezusa umieszcza w innym czasie i w innych okolicznościach, niż dwaj pozostali.

Najtrudniejszym atoli do wytłumaczenia jest zadziwiające podobieństwo synoptyków w sposobie wyśłowienia. Np. gdy czynią wzmiankę o licznych uzdrowieniach w Kafarnaum, Mateusz zaczyna: „A gdy był wieczór”, Łukasz: „A gdy zaszło słońce”, Marek: „a gdy był wieczór, gdy słońce zaszło”. Czasem jednak różnią się w niektórych wyrażeniach.

Czym wytłumaczyć taki stan rzeczy?

Jest rzeczą pewną, że wspomnienia o życiu i czynach Zbawiciela, zanim je spisano, były przechowywane w żywej pamięci świadków i podawane ustnie. Z obfitego materiału i mów Jezusa dobierali apostołowie w swych przemówieniach te, które najbardziej odpowiadały poziomowi słuchaczy. Przy czym przy powtarzaniu tych samych wydarzeń i mów wytworzyła się pewna jednostajność przedstawienia wypadków i pewna stałość w odtwarzaniu nauk. Było to potrzebne dla zapewnienia wierności mówom. W ten sposób łączono w grupy pewne podobne wydarzenia.

Ponadto wiemy, że już dość wcześnie zaczęto spisywać nauczanie ustne. Czynie to apostołowie i ci, którzy nie byli świadkami życia i działalności Jezusa, czynili także wierni.

Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że św. Mateusz korzystał z takiej pod względem treści i formy katechezy. Św. Łukasz, według większości krytyków, korzystał znów z św. Marka, a Marek zapewne miał pod ręką Ewangelie Mateusza. W ten mniej więcej sposób zdaje się mamy wytłumaczenie podobieństwa i różnic trzech pierwszych Ewangelii. A przy tym historia i podania kościelne przekazały nam podobny sposób tłumaczenia problemu synoptycznego. Nie wyjaśnia nam to wprawdzie zupełnie trudności ale daje nam wiele cennego materiału informacyjnego K. Ł.

POKORA

„Kto się wywyższa, poniżon będzie, a kto się unia, wywyższon będzie” Łk 14, 11.

Wywyższył się na początku czasu Lucyfer, chciał być równym Bogu i sromotnie został poniżony. Za podstępem złego ducha chciał się wywyższyć i człowiek w raju: nie dosyć mu było szczęścia rajskiego, chciał być niby Bogiem i znowu straszny i dotkliwy dla nas upadek. Budowała ludzkość wieżę, która miała osiągnąć nieba i Boga i pomieszane zostały języki ludzkie. W ostatnich czasach Hitler w zarozumiałości i pysze powoływał się na Opatrzność i lubował się w oznakach bałwochwalczej czci sfanatyzowanych tłumów i znowu sprawdziły się na nim słowa Jezusowe z dzisiejszej Ewangelii św. Przy wzbijaniu się i wspinaniu na szczyty jest jedno wielkie niebezpieczeństwo, że można dostać zawrotu głowy i spaść a wtedy im kto wbił się wyżej, tym większy upadek.

Sprawdza się i druga część zdania: „Kto się unia, wywyższon będzie”. Syn Boży wyniszczył sam siebie, przybrał na siebie postać sługi, przyszedł na ziemię nie po to, aby Mu ludzie służyli, ale aby służyć ludziom. Dlatego był poddany Matce Najświętszej i Opiękunowi św. Józefowi, dlatego przepasał się na Ostatniej Wieczerzy prześcieradłem i umywał nogi swym apostołom.

Za przykładem Syna i Matka Najświętsza była niedoścignionym przykładem pokory. Ona łaski pełna i błogosławiona między niewiastami wysławia Boga za to, że wejrzał na niskość służebnicy swojej. W chwili najwyższego wyniesienia, powołania na Matkę Boga, unia się mówiąc: „Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa Twego”. Ale też Matka Najświętsza najniższa w życiu służebnica Pańska została wywyższona ponad chóry anielskie, z duszą i ciałem wzięta do nieba i ukoronowana na Królową wszelkiego stworzenia, Królową nieba i ziemi.

Pokora musi być fundamentem i podstawą wszelkiego życia cnotliwego. Prawda ta jest podkreślana bardzo często w Nowym Testamencie. W Kazaniu na górze Pan Jezus stawia zasadę: „Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie” Mt 5, 3. W innym miejscu zwraca się Chrystus Pan do nas z zachętą: „Uczcie się ode Mnie, żem jest cichy i pokornego serca” Mt 11, 29; upomina: „Który jest większy z was, będzie sługą waszym” Mt 23, 11. A za Chrystusem Panem Jego pierwszy zastępca na ziemi w swym pierwszym liście upomina wiernych słowami: „A wszyscy wzajemnie w pokorze się utwierdzajcie”.

Życie cnotliwe musi się oprzeć nie na urojonej wielkości ale na prawdzie. A prawdą jest to, że wszystko, czym jesteśmy i co posiadamy, zawdzięczamy Bogu. „A co masz — pyta św. Paweł — czegoś nie otrzymał? A jeśliś otrzymał, czemu się chęłpisz, jakobyś nie otrzymał?” Pokora opiera się na prawdzie. Stąd nie jest przejawem pokory ale zamaskowanej pychy to, gdy człowiek uzdolniony, utalentowany przez Boga wmawia w siebie czy też w otoczenie, że jest ostatnim kopciuszkiem. Stąd geniusze mogą być ludźmi bardzo pokornymi, je-

EWANGELIA

NA SZESNASTĄ NIEDZIELĘ
PO ZIELONYCH ŚWIĘTACH
(Św. Łukasz 14, 1—11)

Onego czasu: Gdy wszedł Jezus w szabat do domu jednego z przedniejszych faryzeuszów, aby się posilić, oni Go śledzili. A oto człowiek pewien opuchły stanął przed Nim. I odpowiadając Jezus rzekł do uczonych w Prawie i faryzeuszów, mówiąc: Czy godzi się w szabat uzdrawiać? A oni milczeli. Tedy On, dotknawszy go, uzdrowił i odprawił. I odpowiadając rzekł do nich: Jeśli którego z was osioł albo wół wpadnie do studni, czyż natychmiast nie wyciągnie go w dzień sobotni? I nie mogli Mu na to odpowiedzieć.

A przylgając się, jak pierwsze miejsce wybierali, powiedział zaproszonym przypowieść, mówiąc do nich: Gdy będziesz zaproszony na gody weselne, nie siadaj na pierwszym miejscu, abyś snadź nie był zaproszony i godniejszy od ciebie. A wówczas ten, który ciebie i jego zaprosił, nadechodząc rzekłby ci: Daj temu miejsce. Wtedy byś ze wstydem począł ostatnie miejsce zajmować. Ale gdy będziesz wezwany, idź, zasiądź na miejscu ostatnim, abyś skoro nadejdzie ten, który ciebie wezwał, rzekł do ciebie: Przyjacielu, posiądź się wyżej. Wtedy będziesz miał chwałę u współbiesiadników: bo każdy, kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się unia, wywyższon będzie.

LEKcja

NA SZESNASTĄ NIEDZIELĘ
PO ZIELONYCH ŚWIĘTACH
(Do Efezjan 3, 13—21)

Bracia: Proszę, abyście nie upadali na duchu z powodu prześladowań moich za was, które są chlubą waszą. Z tej to przyczyny zginam kolana przed Ojcem Pana naszego Jezusa Chrystusa, od którego bierze swe imię wszelkie ojcostwo na niebie i na ziemi, aby dał nam według bogactw chwały swojej, a za sprawą Ducha Jego wzmocnić się potężnie w wewnętrznego człowieka, tak aby przez wiarę Chrystus zamieszkał w sercach waszych. A wy, umocnieni i ugruntowani w miłości, abyście wraz ze wszystkimi świętymi pojąć mogli, jak on jest rozległa i daleka, wzniosła i głęboka, abyście też mogli poznać, jak miłość Chrystusa przewyższa wszelką wiedzę, i (w ten sposób) byli napełnieni całą pełnością Bożą. A Temu, który mocen jest uczynić daleko więcej, niż o to prosimy albo pojmujemy, według działającej w nas mocy, Jemu niech będzie chwała w Kościele i w Chrystusie Jezusie na wszystkie czasy i na wieki wieków. Amen.

żeli swe zdolności uważają za dary Boże, wyzyskują je należycie i czyniwszy wszystko jak należy mówią: „Słudzy nieużyteczni jesteśmy; cośmy winni byli uczynić, uczyniliśmy”.

Wspaniale określił cnotę pokory ks. K. Michalski w swej książce p. t. Między heroizmem a bestialstwem. Píše on: „Pokora jest cnotą o dwu obliczach, z których jedno zwraca się do Boga, drugie do nas samych. Zwracając się do Boga, dostrzegamy nie tylko Jego nieskończoną wielkość a naszą lichotę, lecz i to, że każde dobro w nas i poza nami z Jego pochodzi ręki; zwracając się do nas samych — zauważamy — że nigdy z naszej strony nie było tyle pracy, byśmy nie mogli, nie musieli uznać, że można było zdziałać jeszcze więcej, o wiele więcej.”

O tak pojętą pokorę starajmy się ze wszystkich sił. Ks. Musiel Fr.

Narodzenie Najśw. Maryi Panny

Dokończenie ze str 286

chwili nie było i nie będzie świętszej od Niej istoty.

„I jest Ona — jak się wyraża św. Piotr Damian — po duszy Pana Jezusa najdoskonalszym dziełem wszechmocności Boskiej, dziełem, które tylko Pan Bóg sam przewyższa; powab i krasa Jej przenajświętszego i niepokalanego ciała odpowiadają piękności Jej duszy”.

W błogosławionej chwili Jej narodzenia ciemności, w których świat był pogrążony od kilku tysięcy lat, rozpraszać się zaczęły, dając miejsce prawdziwej wierze. „Obchodźmy tedy z wielkim weselem — powiada św. Jan Damasceniński — Narodzenie Matki Bożej, przez które rodzaj ludzki przez Syna Jej odkupiony został. Jak jutrenka jest końcem poprzedzającej ją nocy, tak Narodzenie Maryi było końcem naszych smutków, a początkiem wesela, było ono również zapowiedzią największych łask Bożych oraz zadatkiem niedalekiego przyjścia na świat samego Boga...”

Specjalną czcią otaczają katolicy polscy Matkę Bożą i nazywają dzień Jej narodzenia świętem Matki Boskiej Siewnej. Bo-wiem miesiąc wrzesień jest czasem siewów ozimych. Ścierniska nikną z pól, a w ich miejsce czerni się zorana gleba, w którą rolnik rzuca świeże ziarno z ostatnich żniw, by na przyszłe lato wydało obfity plon, a przez to chłop i robotnik, inteligent i mieszczanin miał pod dostatkiem chleba, jaki daje nam nasza ukochana ziemia ojczysta.

To też z największym zadowoleniem i radością napełniają wierni nasze świątynie na Matkę Boską Siewną, którą uważają za szczególną patronkę pól i zasiewów jesiennych.

Marian Jamrozik.

NOWY ROK SZKOLNY

„Być niezajętym i nie być wcale wypada na jedno” — mówił Wolter z właściwą sobie skłonnością do paradoksalnych skrótów. I dalej: „Wszyscy ludzie są dobrzy z wyjątkiem próżniaków”. Jeśli dziś przypominamy te słowa nie czynimy tego w chęci pomnażania popularności Woltera, której miał i ma dosyć, lecz dla wypuklenia możliwości najwięcej problemu, wysuwającego się na czoło zawsze, ilekroć wkraczamy w nowy rok szkolny. Jest to problem pracowitości. Józef Pieter w swej ciekawej książce „Krytyka dzieł twórczych” postawił tezę, że organiczną cechą każdej jednostki genialnej jest olbrzymia pracowitość. Nie chodzi nam o geniuszy. Chodzi nam o ludzi średniej normalnej umysłowości, młodych ludzi, którzy w przyszłości winni się stać przydatni dla społeczeństwa, z których dumni będą wszyscy, poczynając od tak małych instytucji jak rodzina, a skończywszy na tak złożonych i rozległych jak Państwo i Kościół. Jest bezspornym fakt, że przydatność ta w dużej mierze uzależnia się od postawy, jaką oni wykażą, od osobistej pracowitości i sumiennosci, której dadzą dowody. Czasy przeżywane przez nas stoją pod znakiem wielkiej pracy. Pracy na wszystkich polach życia. Praca ta obejmuje ze zrozumiałych względów również szkołę. Obowiązek przyzwyczajania młodzieży do pracowitości i systematyczności dotyka nie tylko wychowawców, leży on przede wszystkim na barkach rodziców. Przykład i łagodna perswazja rodziców wywierają na młodzież wpływ daleko głębiej idący, niż napomnienia i — przynajmniej to sami — nudne częstokroć moralizatorstwo wychowawców i nauczycieli.

„Chcesz być czymś w życiu — pracuj” — mówimy często. Wydaje się, że w tym lapidarnym sformułowaniu tkwi istota rzeczy. Żaden człowiek nie osiągnął jeszcze powodzenia, szczęścia bez codziennego trudu, bez stałego pokonywania w sobie lenistwa, do którego chyba każdy człowiek czuje wyraźną skłonność. Przelamywanie takich skłonności, zdolność do wyrzeczeń, umiejętność rezygnowania z rzeczy małych i nieistotnych dla celów prawdziwie wielkich — oto co potrzebne jest człowiekowi bez względu na jego wiek.

„Wyrzeczenie jest paktem z Muzą” — powiedział mądry Goethe. Dodajmy jeszcze: nie tylko z Muzą, ale i ze szczęściem, ze spokojem, czyli z tym, za czym tęsknimy wszyscy. Młodzież nie lubi wyrzeczeń. — Chciałaby kosztować życia w jego najpożądniejszych formach, chciałaby odczuwać jego krasę i smak wszystkimi zmysłami, pić je zachłannie, łapczywie do dna nie oglądając się na to co będzie później. A to co będzie później, jest ważniejsze od tego,

co jest teraz. Młodość stanowi okres przygotowań do życia pełnego i tylko te jednostki będą w nim kiedyś miały głos, które tego okresu nie przespały, które wchodziły w życie albo z solidnym ładunkiem intelektualnym albo z pokąsną sumą umiejętności zawodowych. W tych warunkach wszyscy niezdolni do wyrzeczeń, wszyscy, którzy oddawali się w młodości słodkiemu lenistwu miast nauce — odpadną, tak jak odpada słaba roślina w walce z mocniejszymi. Trzeba, aby to zrozumieeli rodzice, szczególnie skłonni do pobłażliwości względem własnych dzieci. „Jeszcze ma czas, jeszcze się przyzwyczai do pracy” — jakże często słyszymy takie zdania. Nie, nie przyzwyczai się, jeśli teraz nie będziemy się o to starali. Cechą pracowitości tak przydatną każdego dnia zdobywa się trudem całego życia. Jednorazowe wysoki, słomiane zapasy zajmujące wcale poczesne miejsce w bukiecie naszych wad narodowych, nic tu nie pomogą. Człowieka, który nie potrafi systematycznie pracować można poznać od razu. Znajdzie się u niego głębokie myśli, zdolność do syntez śmiatych i efektownych, błyskotliwą inteligencję, ale obok tego kompromitujące luki, słabe miejsce łatwe do zdemaskowania. Te luki są niczym innym tylko wynikiem dorywanej, niesystematycznej pracy. Jedynie ciągła, systematyczna praca, do której przyzwyczajając należy od dziecka, daje rezultaty na miarę społecznych zapotrzebowań. Młodzież musi sobie uświadomić bezsens i absurdalność wyczekiwania na „natchnienie” w pracy. Życie nie jest poezją, chociaż dobra, owocna praca może nią być. A gdyby nawet było poezją, to i tak oczekiwanie na przyjście natchnienia byłoby maską pospolitego lenistwa. „Natchnienie polega na

— tym, aby codziennie o tej samej porze, zasiadać do pracy” — powiedział Stendhal, który wprowadził poetą nie był, ale rozumiał doskonale znaczenie systematyczności w pracy literackiej. Wydaje się być pewnikiem, że znaczenie to posiada równą wagę w każdej pracy, umysłowej i fizycznej.

Po okresie wakacyjnego odpoczynku młodzież ruszy znów do szkoły. Jest to wyjazd, który przyniesie jej nowe laury lub też nowe zawody. Nie można tego lekceważyć. Zwiększanie troski rodziców, aby ich dzieci nie tylko chodziły do szkoły (zadaniem szkoły nie jest wychowywanie dobrzych piechurów), lecz pracowały w niej systematycznie aż do skutku, pracowały kształtując charakter i wzbogacając go o cechy pozytywne, winno osiągnąć stopień maksymalny. Nie tylko w pierwszych dniach nowego roku. Przez cały rok. W pracy wychowawczej luki są niedopuszczalne. Wręcz szkodliwe. Odbijają się one później ze szkoda dla młodzieży i dla autorytetu wychowawców. Prawda jest, że szkoła wychowuje. Ale składanie całej odpowiedzialności za wychowanie na szkołę nie powinno mieć miejsca. Szkoła daje wiedzę, przyzwyczajając do życia zespolewonego, ale charakter młodzieży kształtuje się głównie w rodzinie, w jej atmosferze, która tak przełomny wpływ wywiera na postawę człowieka wobec świata, życia i ludzi. Jeśli atmosfera ta przesycona będzie troską o należyte przygotowanie młodzieży do życia społecznego i zawodowego, można być pewnym, że młodzież nie zawiedzie, nie pójdzie drogami pięknoduchów, które są może łatwe i przyjemne, lecz prowadzą do nikąd. Rodzice muszą współpracować w wychowaniu.

Daniel Piskulski.

MIESIĄC WARSZAWY

Miesiąc wrzesień poświęcony został w Polsce odbudowie Warszawy. Wybór nie jest przypadkowy. — Pamiętamy jeszcze wszyscy tragiczną obronę Warszawy we wrześniu 1939 r., pamiętamy również wrzesień 1944 r., kiedy to heroiczne miasto po przeszło miesięcznych, wyczerpujących walkach coraz wyraźniej staczało się ku nieuchronnej klęsce.

Dwa wrześnie — dwie klęski, dwie hekatomby ofiar, które w bilansie ogólnonarodowym tkwią w rubryce bolesnych strat. Trzeba było i trzeba będzie wiele innych wrześni poświęconych wyłącznie Warszawie, aby zdeterminowaną wolą dźwignięcia jej z gruzów zatrzeć pamięć o stratach, które poniosła. Takie wrześnie nadeszły.

Nikogo nie dziwi, że pomimo fatku rozłożenia trudu odbudowy stolicy na pełnych dwanaście miesięcy, miesiąc wrzesień jest świadkiem jego maksymalnego nasilenia. Wszyscy wiedzą, że tak właśnie a nie inaczej być powinno, bowiem dźwięk słowa „wrzesień” ma dziś dla Warszawy wagę symbolu.

Od pierwszych niemal chwil po zakończeniu wojny popłynęły na rzecz odbudowy stolicy ofiary z całej Polski. Od tego czasu jesteśmy świadkami zjawiska bez precedensu w naszej historii: oto cały naród wraz z Rządem, Kościołem i wszystkimi instytucjami pracowicie odbudowuje swą stolicę. Idą na jej odbudowę dochody z imprez, zabaw, przedstawień teatralnych, loterii, idzie ślaska stal i węgiel — trud pracy górnika i robotnika, idą wreszcie coraz większe kwoty asygnowane przez Państwo. Warszawa odbudowuje się i prze-

budowuje, rosną nowe kompleksy gmachów, nowe ulice, place, skwery, całe dzielnice spiętrają się na miejscu niedawnych gruzów. Każdy niemal może doświadczać, nie stwierdzić, że jego skromna ofiara została właściwie spożytkowana i tkwi gdzieś teraz w świeżych murach Nowego Świata, czy w tunelu słynnej trasy W—Z.

Wielkie nawet osiągnięcia nie uprawniają jednak do spoczynku na laurach. Odbudowa Warszawy jest w pełnym toku, wymaga ciągle nowych wysiłków i ofiar przerażających nieraz możliwości finansowe Państwa. Rozumie to dobrze naród i wysiłku nie szczędzi. Każdy wrzesień jest przeglądem ofiarności społecznej na rzecz odbudowy stolicy, przeglądem patriotyzmu. Bo patriotyzm to nie szumny deklaracjonizm i puste frazesowiczostwo, które powinny być obce wszystkim czasom twardej i trudnej, ale konkretne czyny, konkretne dokonania brzemienne w owocne skutki.

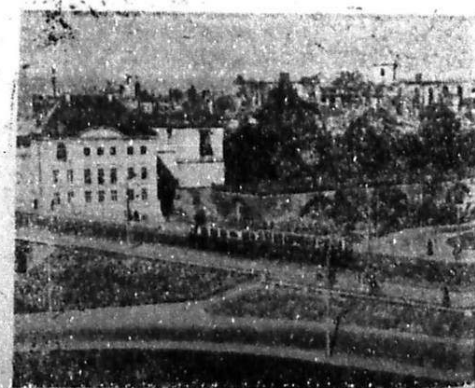
Wierzmy, że wrzesień bieżącego roku ujrzy również wiele takich czynów-ofiar na rzecz odbudowy Warszawy.

F. H.



W Ośrodku Zdrowia opieką nad matką i dzieckiem jest troskliwa.

Fot. (11)



Widok Warszawy — Fragment Trasy W—Z.

Przyczyny nieszczęśliwych małżeństw

Małżeństw prawdziwie szczęśliwych jest bardzo niewiele. Tym więcej niestety słyszy się o małżeństwach nieszczęśliwych.

Przyczyny ich są często od nas niezależne, jak to choroba, nędza, śmierć dzieci itd. Ale często są przyczyny zawinione, zawinione przez samych małżonków. Oto kilka z nich.

Małżonkowie nie dobrali się. W czasie narzeczeństwa, w czasie uniesień miłosnych, wydaje się młodym, że wzajemna miłość wyrówna różnice i sprzeczności, które istnieją między nimi. Nie zważają więc na różnice upodobań, temperamentów, charakteru, wykształcenia. Gdy jednak pierwsze zapęły miną, różnice występują coraz wyraźniej, prowadząc do nieporozumień, kłótni, a tym samym do całkowitego rozbitcia małżeństwa.

Otóż mąż wykształcony, poważny, oddany zagadnieniom naukowym, społecznym, żona zaś bowiem chowana lalka na czułych romansach Mniszkówny wykształcona; o czymże ci dwoje będą z sobą rozmawiali przez długie lata wspólnego życia? To tak samo jak gdybyś był się ożenił z gęsią.

Albo: jedno z małżonków lubi pracę, życie domowe, spokój; drugie znowu lubi towarzystwo, zabawy, kina, dancingi. Jak tu ma powstać zgodne i szczęśliwe życie rodzinne?

Takich rozbieżności możnaby wyliczyć mnóstwo. Zapewne przy dobrej woli można mniejsze różnice wyrównać i dostosować się do siebie, ustępując sobie wzajemnie, ćwicząc się w cierpliwości i wyrozumiałości. Ale często to się nie udaje. Stąd nauka, że młodzi zanim się pobiorą, winni się wzajemnie poznać, winni przekonać się, czy wytrzymają z sobą aż do śmierci. Ku temu właśnie służy czas znajomości przedślubnej.

Niedobre są narzeczeństwa zbyt długie; ludzie nie powinni sobie wzajemnie zawiązywać życia. Ale potępienia godne są te znajomości przedślubne, trwające zaledwie kilka dni. Bywa, że młodzi widzieli się zaledwie dwa, lub trzy razy, zamienili ze sobą zaledwie kilka słów, i już idą na zapowiedź — często pod wpływem rodziców lub rodziny. Czyż w tak krótkim czasie młodzi mogą się poznać, poznać wzajemne stosunki rodzinne, wzajemne cnoty lub wady? Niechaj sami sobie przypiszą winę, jeżeli małżeństwo okaże się niedobre i nieszczęśliwe.

Druga przyczyna: **Namiętna miłość.** Jak to? Przecież szczerą a gorącą miłość — to główny warunek szczęścia małżeńskiego. Owszem, ale miłość miłości nie jest równa.

Nieraz miłość ogarnia młode serca jak niszczący płomień. W zapamiętaniu miłosnym nie zważają na nic: ani na własną cześć, ani na opinię ludzką, ani na rady rodziców lub przestrogi przyjaciół. Albo ona, albo śmierć; albo on, albo skok do rzeki. Z bólem serca ustępują rodzice wobec wariactwa młodych.

A po kilku miesiącach pożycia małżeńskiego z płomiennej miłości pozostają zgłiszczą. Jaka tego przyczyna?

Oto w takiej zbyt namiętnej miłości jest zwykle wiele zmysłowości. A zmysły mają to do siebie, że z biegiem czasu męczą się i wyczerpują. Spróbuj jadać rano, w południe, wieczorem smakołyk, który szczególnie lubisz np. ciastka z bitą śmietaną i powtarzaj tę próbę przez kilka tygodni, to w końcu słodycze tak ci zbrzydą, że będziesz wolał raczej kawałek suchego chleba; zmysły najadły się i przejadły. Podobnie ma się rzecz z zmysłową miłością. Usidlą ją jej piękność nieraz malowana, urzeką ją jego płomienna namiętność, nie-

raz podsycana alkoholem. Ale po kilku miodowych miesiącach, gdy najedli się miłości do sytości, budzą się jak by z koszmarnego snu, a namiętna miłość zamienia się w obojętność, a nieraz w obrzydzenie, a nieraz w nienawiść.

A więc w miłości nawet najbardziej gorącej, winno być pewne opanowanie. Trzeba z miłością zmysłową połączyć pierwiastek duchowy, który by przetrwał aż do śmierci. Łączność fizyczną w małżeństwie trzeba uzupełnić łącznością zmysłów i serca. Wspólna rozmowa, lektura, nauka; wspólne radości i smutki; wspólna praca i ofiara — oto sposoby aby miłość małżeńską uczynić trwałą, szczęśliwą, i godną człowieka.

Trzecia przyczyna: **Kłopoty z dziećmi.** Dziecko jest i powinno być pociechą i szczęściem rodziców. Ale wielka ilość dzieci połączona z wielką biedą, zagraża nieraz pokojowi i szczęściu rodzinnemu. Co na to poradzić?

Małżonek, który ma wiarę w sercu i mocne zasady moralne, nie będzie małżeństwa nadużywał wbrew sumieniu i woli Bożej; nie będzie posługiwał się środkami i sposobami, które są sprzeczne z prawem natury i prawem moralnym. Byłaby to najpewniejsza droga do podkopania szczęścia małżeńskiego.

Ale z drugiej strony nikt nie żąda, aby postępować według zasady: co rok prorok. Ciężkie warunki materialne lub mieszkaniowe, choroba żony lub inne poważne przyczyny usprawiedliwiają małżonków, jeżeli pragną liczbę dzieci rozsądnie uregulować. Są na to sposoby nie absolutnie pewne, ale bardzo prawdopodobne, które przyzwalają wpływać na ilość urodzeń zgodnie z zasadami moralności chrześcijańskiej. W tych sprawach najlepiej poradzić się uczciwego lekarza, lub spowiednika, albo też sięgnąć po odpowiednią lekturę. („Z tajemniczość życia małżeńskiego“, „Rytym małżeństw...“)

Dalsza przyczyna: **szarżyna życia małżeńskiego.** Skąd to pochodzi, że narzeczeni

nigdy się nie nudzą; nigdy im nie dosyć rozmowy, grzeczności i czułości; narzeczeństwo — to nieustająca poezja. A w małżeństwie? Jakże często poezję zastępuje szara proza.

On chodzą po domu niedbale ubrani, nieogolony; ona w starej brzydkiej bluzie, nieuczesana; przecież dla męża, dla żony nie warto się stroić.

On wróciwszy po pracy siedzi milczący w kącie z papierosem, zatopiony w gazecie; ona milczy w drugim kącie cerując pończochy.

Jak dziwnie czasy się odmieniły. Małżonkowie gdy jeszcze byli narzeczonymi, jak to jedno drugiemu starało się przypodobać strojem, grzecznościami, pieśmiotliwymi wyrazami, prezentami. Czemu to wszystko miało być w małżeństwie? Czy mąż wracając do domu, nie mógłby przynieść żonie do domu od czasu do czasu kilka kwiatów lub cukierków? Wydatek mały, a byłby miły dowód pamięci i miłości. Tak samo żona mogła by często w urządzaniu domu, czy to w nakryciu do stołu okazywać mężowi że dba o niego, że chce mu być podporą i pociechą. Trzeba tylko wyzbyć się samolubstwa, zapomnieć o własnej wygodzie, własnym szczęściu, a myśleć tylko o tym jak uszczęśliwić współmałżonka. Takie drobne, rodzinne ofiary to najlepszy sposób, by zapewnić małżeństwu trwałość, spokój i szczęście.

Pan Bóg w sakramencie małżeństwa daje małżonkom osobną łaskę, by mogli sprostać obowiązkom małżeńskim. Ale o tę łaskę trzeba prosić. Niechże małżonkowie tak jak to czynili za czasów narzeczeństwa, idą wspólnie do spowiedzi i Komunii św., na Mszę św., na majowe nabożeństwo i niechże od czasu do czasu mąż ujmie ręce żony w swoje ręce, by w wspólnej modlitwie prosić Boga o błogosławieństwo dla siebie, dla dzieci, dla domu. Wzajemna łączność serc umocni się i uświęci przez łączność z Bogiem, czyniąc z małżeństwa przedsięwzięcie nieba.

Nie co katolickie nie powinno mi być obce

Książki są do czytania. Zdanie to pachnie mocno paradoksem, ale jest to paradoks pozorny. O co chodzi? „Tygodnik Katolicki“ umieszczał kiedyś notatki, charakteryzujące krótko sylwetki i cechy twórczości współczesnych pisarzy katolickich. Notatki spełniały nader pożyteczną rolę: zaznajamiając czytelników z nazwiskami autorów, którzy nadają ton dzisiejszemu piśmiennictwu katolickiemu, osławiają ich jednocześnie z tytułami i książek godnych przeczytania. O konieczności czytania pisaliśmy na tych stronach nieraz. O szerzeniu literatury, tej literatury, która ma nam ukazać prawdę o życiu, ma wzbogacić nas o nowe treści, pobudzić do głębszych rozmyślań, wydoskonalić sposób spostrzegania świata, zapłodnić chęcią najwyszczególniejszego ogarnięcia jego perspektyw — nie trzeba zbyt szeroko pisać.

Każdy myślący człowiek wie, że dla rozwoju umysłu i życia duchowego, stały kontakt z literaturą jest niezbędny. Czasy bowiem, w których żyjemy, naładowane są do tego stopnia bogactwem problematyki i to wielogatunkowej, że orientować się w niej jest niezwykle trudno. Literatura umożliwia nam tę orientację, wartościuje zagadnienie, ukazuje człowieka w życiu społecznym, rodzinnym, religijnym i t. p. Stąd jej olbrzymie znaczenie. Doceniając je, na pytanie — jaki winien być stosunek szerokich rzesz katolików do literatury —

odpowiemy: „jak najbardziej przychylny“. A szczególnie do literatury katolickiej, nam współczesnej.

Z powyższych słów mógłby ktoś wyciągnąć błędny wniosek, że widocznie pisarze katolicy mają mało czytelników, skoro tak się zachęca do poznania ich dorobku literackiego. Tak nie jest. Pisarze katolicy cieszą się ogromną poczytnością. Kogo w takim razie zachęcamy do lektury słowami: „książki są do czytania?“ Przede wszystkim młodzież. Dalej: tych katolików, którzy nie przeczuwając rozległości zagadnienia, jakie rozwija przed nami literatura z prawdziwego zdarzenia, rozczulają się z upodobaniem w banalnych piśmiennych cuchnących niezdrową sensacją i pornografią. Wreszcie — tych, którzy z książką w ogóle mieli mało styczności.

Jesteśmy po wojnie świadkami niebywałego rozwoju czytelnictwa, dynamicznego pędu do oświaty i wiedzy, walki z analfabetyzmem, tego prawdziwego kalectwa wielu pożytecznych ludzi. Mamy nadzieję, że proces narastania głodu dobrej książki nie ominie również katolików tych kategorii, które uszeregowaliśmy powyżej. Po-

(Dokończenie na str. 291)

Kościółki drewniane w Polsce

"Któż nie ulegał, nie poddawał się urokowi i mocy, bijącej z Suplikacji? W czym tajemnica tej tak prostej melodii, słów tak niewielu tej pieśni? Wzniesiliśmy się w niej na szczyty uczuć religijnych — słów już braknie — zwracamy się ciągle do tego samego z zachwyty płynącego zawołania: Wielki, Mocny, Nieśmiertelny."

(Eugeniusz Romer.)

Popołudniowe godziny upalnej, słonecznej niedzieli... Z wnętrza starego, modrzewiowego, pochylonego już mocno ze starości kościółka słychać poważne tony organów i potężny chór głosów rozmodlonych, bijących mocno o drewniany strop świątyni...

Czar niepowszedni niedzielnego popołudnia, przepiękna sylwetka drewnianego kościółka — to tło, na którym uwydatnia się siła i moc modlitwy, płynącej do stóp Stwórcy.

Drewniane kościółki... Jakżeż pięknie harmonizują one z przyrodą, z krajobrazem, z chatami wsi polskiej! Jakżeż malowniczo wyglądają w otoczeniu sędziwych lip, rozciągających opiekę nad nimi, w otoczeniu starych cmentarzy, na których spoczywają minione pokolenia mieszkańców wioski.

Kościółki te to bardzo cenne i wartościowe zabytki życia kultury narodowej. W ich wnętrzu znajdujemy twórcze walory sztuki polskiej w szczególności ludowej sztuki religijnej, tchnącej prostotą a zarazem niezwykłym realizmem i bezpośredniością ekspresji. Tutaj wypowiadali się twórcy ludowi, często bezimienni, tutaj wypowiadał się w twórczości duch narodowej sztuki, mistrzów i artystów ludowych.

To też kościółki drewniane są bardzo dla nas cenne, a czasem tworzą jakby muzeum o wielkich i nieprzeciętnych wartościach.

Styl prawie wszystkich tych kościółków jest mniej więcej jednakowy i niewiele zmienił się zasadniczo w ciągu stuleci i dlatego wiek nie odgrywał w tym wypadku roli. Znajdujemy więc kościółki drewniane stare, np. z XV, czy XVI wieku, które budową swą, konstrukcją i stylem zupełnie są analogiczne do swych młodszych następców, do kościółków z XVII i XVIII wieku. To też na przestrzeni setek lat nawet, budownictwo kościółków drewnianych zachowywało stare formy i wzory.

Naogół kościółki te budowane w stylu gotyckim, ze swoistą jednak polską architekturą, odzwierciedlają się wyraźnie w ogólnej postawie, jak i w rozkładzie planu świątyni. Szerokie, ciosane belki, przeważnie modrzewiowe, lub dębowe zastępują poniekąd fundament. Na nich są ułożone szerokie bale jodłowe. Konstrukcja jest szeregowa-węglowa. Poziomo układane belki związane są razem na węgiel, na narożnikach łączone różnorodnymi zacieczkami, np. w tak zwany rybi, lub jaskółczy ogon.

Układ jest trójdzielny. Kościółek składa się zasadniczo z trzech części, które stanowią: wieża, pod nią znajduje się przedsionek, następnie szeroka nawa, poczem zwężające się prezbiterium, oddzielone od nawy łukiem, zwany tęczą. Jest to poprzeczna belka, na której widnieją piękne ozdoby, nacinane w drzewie i wśród ornamentów na niej wyrzyta jest zwykle tam data zbudowania kościoła. Powstała kościółka jest zwyczajnie płaska, niewysoko wznosząca się.

Dach kościółka stromy, kryty gontami, czasem nawet bardzo spadzisty, czasem wygięty i dostosowany do konstrukcji samej nawy, prezbiterium i soboty. Soboty jest to jak gdyby wąski korytarz, kryty pochylonym daszkiem, wspartym na słupkach i obiegającym wokół kościoła. Soboty są na-

ogół rzadkim elementem konstrukcji kościoła. Dach może być ponadto czasem dwu- i trój- i czteropiętrowy, względnie łamany, co należy jednak na ogół w Polsce do rzadkości. Formy te są już ściśle regionalne, czyli dostosowane do pewnych krain geograficznych Polski.

Pozatem kościółki o małych wymiarach nie miały zazwyczaj osobnej wieży, natomiast wielkie posiadały czasami wieże, stanowiące bądź to oddzielną część, bądź też wogóle osobno od kościoła były budowane. Budowę wieży cechuje konstrukcja, polegająca na ułożeniu pionowo czterech słupów, powiązanych ze sobą poprzecznymi belkami. W całości przypominały wieże te swym wyglądem starożytne baszty obronne jakiegoś grodu.



Piękne są nasze katolickie świątynie... Charakterystyczny styl drewnianego kościoła w Bukowcu k. Nowego Tomysła Wlkp.

Należy przytym zaznaczyć, że w całej budowie nie używano nigdy do łączenia poszczególnych belek, lub części gwoździ, lecz rolę ową z powodzeniem spełniały zawsze kołki drewniane.

Jeśli chodzi o geograficzne rozmieszczenie kościółków drewnianych na terytorium Polski, to występują one naogół dość licznie zwłaszcza w okolicach rolniczych Śląska, w tym specjalnie w dużej liczbie na Śląsku Opolskim, następnie na Podkarpaciu, a zwłaszcza na Podhalu, gdzie stanowią odrębny od reszty Polski typ, mianowicie tak zwany typ kościółków podhalańskich, poza tym w Sandomierskim i na Lubelszczyźnie. Na Śląsku liczymy dzisiaj około 130 kościółków drewnianych, naogół dobrze zachowanych, gdyż ludność tamtejsza otacza je pieczołowitą opieką. Są powiaty, które mają więcej kościółków drewnianych, aniżeli murowanych, np. w powiecie oleśkim, na Śląsku Opolskim na 40 kościołów jest tylko 13 murowanych i 27 drewnianych. Również dużą ilością kościółków drewnianych cechuje się Podhale i niektóre okolice Podkarpacia, gdzie liczba tych kościółków dochodzi do 100.

Jednym z cennych zabytków na Śląsku jest kościółek św. Anny w Oleśnie; jest to dzieło Marcina Sнопka, budowniczego i cieśli z Gliwic. Jest to oryginalne połączenie dwóch kościółków, starego z XVI wieku z młodszym, wybudowanym przez wspomnianego budowniczego z XVII wieku.

Piękną polichromię, czyli malowidła ściennie, malowane na deskach posiada kościółek z XIV wieku w Jesiennej (powiat Strzelce).

Typowe soboty posiada kościółek w Zacharzewicach, z XVI wieku oraz w Mikulczycach pod Bytomiem. Piękną rzeźbę w drzewie pt. „Opłakiwanie Chrystusa” znajdziemy w Jodłowniku (powiat Rybniki). Niektóre kościółki na Śląsku Opolskim nie pełnią dzisiaj już dawnej swojej roli, kościółków parafialnych, gdyż ustąpiły miejsca większym nowo wzniesionym, murowanym kościołom. Jednakowoż wtedy, gdy są już za małe i nie mogą pomieścić zwiększającej się wciąż ilości wiernych, wtedy są bądź to starannie chronione i otaczane opieką, choć już nie czynne, bądź też prze-

niesione na inne miejsca, do innych miejscowości i tam dalej spełniają swą rolę, jako domy Boże, tam, gdzie mieszkańcy nie mieli swego kościoła i zaopiekowali się zabytkiem.

Przytym podkreślić z naciskiem trzeba, że opieka, ochrona, konserwacja jest koniecznością i powinnością narodową, gdyż kościółki drewniane winny być w jak największej liczbie na ziemiach Polski zachowane.

Kościółki takie kryją zazwyczaj w swych wnętrzach wielkie bogactwo rzeźb ludowych, wiele cennych obrazów, malowideł na szkłe, szczególnie zaś kościółki podhalańskie, a także dużo figur, robionych ręką nieuczonych, ale utalentowanych wiejskich świątkarzy.

Trzeba tu specjalnie podkreślić, że ludność śląska ma może największy kult w tym względzie i należyta opieką otacza te stare i cenne pomniki swojej rodzimej twórczości, które są tutaj szanowane, jak by relikwie.

Z pośród kościółków drewnianych na osobne wyróżnienie zasługują niewątpliwie piękne stylowe i inne od reszty — kościółki podhalańskie.

Kilka typowych tego stylu kościółków znajdziemy na Podhalu. I tak w Rabce zobaczymy w czystym podhalańskim stylu zachowany kościółek, fundowany przez Sypka Jordana z XVI wieku. (1565 rok). Obecnie wewnątrz mieści się Muzeum, posiadające bogaty zbiór sztuki ludowej, religijnej (świątki i obrazy na szkłe), kompletny dział wyrobów garncarskich, oraz dział etnograficzny. Obok Rabki, na szczyście góry Obidowej, przy drodze autobilowej Kraków—Zakopane, znajduje się drugi typowy podhalański kościółek, św. Krzyża z XVII wieku, zbudowany przez Jana Wielopolskiego, ówczesnego dziedzica Rabki. Na wschód od Rabki widnieją małe kościółki z XV wieku we wsi Olszówce. Obok Mszany Dolnej, we wsi Niedzwiedź istnieje kościółek z XVII wieku, ufundowany przez Sebastiana Lubomirskiego.

W okolicy Nowego Targu, tej stolicy Skalnego Podhala oglądać można kilka bardzo ładnych podhalańskich kościółków, bardzo charakterystycznych dla starego, podhalańskiego budownictwa. Zobaczymy w Dębnie kościółek z XV w., zbudowany z drzewa dębowego, posiadający piękne malowidła, a uznany za najcenniejszy i najpiękniejszy na Podhalu.

Takie cenne zabytki ujrzemy jeszcze we wsi Sękowa w powiecie gorlickim i w Lipnicy Murowanej, w powiecie bocheńskim. Niestety za szerepek są ramy tego artykułu, by móc w nich zmieścić choć pobieżnie opis, lub samo tylko suche wyliczenie tych przepięknych kościółków drewnianych, które są na polskiej ziemi.

Rozmieszczenie geograficzne wykazuje podobną konstrukcję i budowę w różnych dzielnicach Polski. Wszystkie te świątynki zatem stanowią jakby jedno rodzeństwo, tworzą wspólną grupę architektoniczną, oraz posiadają specjalne swoje cechy, charakterystyczne dla budownictwa drewnianego tego typu w Polsce.

Mają one swoją bogatą czasami przeszłość, były i są ściśle związane z życiem naszego ludu, są świadkami jego trosk i radości, są bardzo ważnym czynnikiem w całości naszej rodzimej kultury ludowej, religijnej. Wszystkie one prócz nadzwyczaj wartościowych wnętrz, jak to już powyżej zaznaczyliśmy, malowideł, rzeźb i specjalnych architektonicznych walorów a również rozmaitych innych elementów, występujących bezpośrednio w ich otoczeniu i z nimi związanych, jak ślicznych wieżyczek, bramek, ogrodzeń, w otoczeniu sędziwych lip i dębów — tchną pozbawionym niepowszednim urokiem i czarem oddziaływującym na przechodnia i zachęcając go do odwiedzenia ich i podziwiania tego piękna, którego pełnym są wyrazem.

Dr Tadeusz Prus Wiśniowski.

Z życia błogosławionego Piusa X

Jedną z pierwszych trosk kard. Sarto w Wenecji była reforma kaznodziejstwa i nauczania religijnego. Nauczanie religii, zwłaszcza ludzi dorosłych, wiele pozostawiało do życzenia. W Wenecji, podobnie jak w Mantui, wielu duchownych uważało, że kazania głoszone w niedziele zastępują nauczanie metodyczne doktryny chrześcijańskiej. Do tego niedomagania dołączało się jeszcze i to, że kazania tamtejsze nacechowane były pewną akademicką emfazą i uczonością. Przeciwno temu zwraca się kardynał Sarto w następujących słowach: Zbyt wiele kazań pozostaje w sferze kazalnicy, bliższe są zatem piszczałek organów, niżli serc wiernych... Zbyt wiele kazań się wygłasza, a zbyt mało naucza. Trzeba zaniedbać kwiecistych dyskursów, a z prostotą wyklądać ludowi prawdy wiary, przykazania Kościoła, cnoty i błędy; często bowiem zdarza się, że nawet osoby ze sfer naukowych świeckich nie znają całkowicie, lub rozumieją opacznie prawdy wiary, a z katechizmu wiedzą znacznie mniej, niż głupiotkie dzieci. Trzeba pomyśleć o dobru tych dusz więcej, aniżeli o ogólnym wrażeniu, jakie się zamierza kazaniem wywrzeć. Lud spragniony jest prawdy; należy więc dać mu to, czego potrzebuje do zbawienia duszy. Gdy będzie nauczany w zrozumiałym języku, — przekonany i wzruszony, zapłacze nad swymi winami i podojdzie do sakramentów świętych. Cóż za korzyść z tego, jeśli kościół pełen będzie wiernych, którzy zeszli się tu dla wysłuchania jakiegoś znakomitego mówcy, ale wyszli z duszą pustą! Będą się wprawdzie nim zachwycać, ale nie będą żałować swych błędów, opuściwszy kościół takimi, jakimi weszli: Mirabantur, powiedzieliby św. Augustyn, sed non convertebantur (będą podziwiać, lecz się nie nawrócą).

* * *

Podległemu sobie duchowieństwu wydał Patriarcha Wenecji szereg surowych zarządzeń dotyczących nauczania religijnego. Ażeby zaś sprawdzić ich wykonanie, zwykł był przybywać niespodziewanie do kościołów parafialnych. Jaki był tego rezultat? „Proboszczowie Wenecji rozumieli wolę swego Patriarchy, pisze biograf Błg. Piusa X, O. Hieronim Dal Gal. Odtąd głosili oni kazania oparte o Ewangelię, wolne od nadbudowy erudycji, i nauczali katechizmu dzieci, a doktryny chrześcijańskiej dorosłych, zgodnie z duchem starożytnej katechezy i z tak wielkim zapalem, że wkrótce dało się stwierdzić pocieszający nawrót do wiary i obyczajów chrześcijańskich.“

Stan Seminarium również pozostawiał niejedno do życzenia, to też kardynał Sarto podjął reformę jego przez wydanie szeregu radykalnych zarządzeń: Pierwsze zarządzenie dotyczyło zniesienia świeckiego konwiktów przy Seminarium; drugie — zrehabilitowania nowego regulaminu dyscyplinarnego, wedle wskazań Soboru Trydenckiego; trzecie — reorganizacji programu wykształcenia i zmiany w składzie ciała profesorskiego.

Mgr Sarto ustanowił ponadto katedrę prawa kanonicznego z możliwością nadawania tytułów akademickich. Zaprowadził specjalne kursa teologii, egzegezy, historii Kościoła, archeologii chrześcijańskiej, oraz nauk ekonomicznych i społecznych.

Na Synodzie diecezjalnym w roku 1898 w Wenecji wprowadził obowiązki konferencji naukowych dla duchowieństwa. — Świadom bowiem wymagań czasu, pragnął on by księża jego diecezji byli odpowiednio przygotowani bronić praw i słuszności nauki chrześcijańskiej wobec poglądów świeckiej kultury modernistycznej.

Księżom swym poświęcał Patriarcha jak najwięcej swych wysiłków i względów.

„Jeśli chodziło o ubogich, pisze O. Dal Gal, wspomagał ich do tego stopnia, że nawet własną odzież rozdawał; załamujących się trudnościami stanu kapłańskiego podtrzymywał na duchu, dodawał odwagi, opierając się na własnych doświadczeniach i rozumie; gdy zachodziły wypadki oczerniania i znieważania księży przez ludzi nienawidzących Kościół i kapłaństwo — występował z całą godnością biskupa, broniąc energicznie autorytetu i honoru krzywdzonych; w razie choroby któregoś z księży — nieraz przerywał swą pracę, by spieszyc do jego łóża, wspomagać, pokrzepiać, czy wreszcie osobiście zaopatrzyć św. sakramentami.“

Nie odmawiał też żadnemu zaproszeniu, ni trud nie przeszkody np. natury atmosferycznej, nie zdołały go w takich razach powstrzymać. Pewnego dnia Wenecjanie widzieli kardynała śpieszącego pieszo w czasie gwałtownej ulewy, do kościoła Zbawiciela, gdzie obiecał wziąć udział w jakimś zebraniu. Gdy ktoś z najwyższym szacunkiem zauważył, iż przecież należało poczekać aż burza przejdzie... Błogosławiony inne wyraził zapamiętanie: „nikomu nie pochwała się — a tym bardziej osobom piastującym jakąś godność — gdy każą na siebie czekać; jest to zawsze oznaką braku miłości i względów dla drugich.“

Nie szczędził wreszcie i swej pomocy księżom. Pewnego razu zdarzyło się — ku wielkiemu smutkowi kapłana, iż w pewnym szpitalu wojskowym trzydziestu chorych wstrzymało się od przyjęcia sakramentów świętych, mimo iż okres wielkanocny miał się ku końcowi. Patriarcha Wenecji dowiedziawszy się o tym niezwłocznie udał się osobiście do owego szpitala, odprawił Mszę św. i wygłosił kazanie — jedno z tych kazań, które z gorącego serca kapłańskiego pochodzą i wzruszają nawet najbardziej opornych słuchaczy. —

NIC CG KATOLICKIE NIE POWINNO MI BYĆ OBCE

(Dokończenie ze str. 289)

stawa prawdziwie katolicka wspierać się winna na zasadzie: „nic, co katolickie, nie powinno być mi obce“. Z zasady tej wypływa właściwy stosunek do nauki Kościoła i jego historii z jednej strony — z drugiej — do trudności artystyczno-literackiej ludzi, których utwory były wyrazem troski o człowieka, o jego życie wewnętrzne odbiegające niejednokrotnie od zasad Chrystusowych. Poglądać konsekwentnie życie duchowe, rozszerzać swą wiedzę religijną, tępić lenistwo i ospałość umysłu — oto obowiązki każdego katolika. W tym ostatnim walną pomoc okazać może literatura katolicka. Posuwamy się ciągle naprzód po drodze swego życia. Nim upłyną dni i miesiące, powoli lecz stale dążymy do swego kresu. Trzeba wykorzystywać każdą chwilę, najmniejszy moment, aby nauczyć się czegoś nowego, pogłębić, wzbogacić umysł i serce. Niektórzy czytają „dla zabicia czasu“. Wybierają byle co. Nie trzeba dowodzić niesłuszności tej zasady. Czas nie jest po to, aby go zabijać lecz spożytkować jak najbardziej owocnie. Najlepszą rozrywką dla każdego myślącego człowieka wydaje się być książka.

Książki są do czytania. A czytanie daje dużo zadowolenia moralnego. „Gdybym się miał jeszcze raz urodzić — powiedział jeden z pisarzy — całe życie poświęciłbym książkom“. Trzeba przyznać, że to nieco za wiele. — Ale godzinę dziennie każdy może poświęcić. Niech żadna książka katolicka nie leży zakurzona w bibliotece. Czytajmy je i wypożyczajmy.

Tadeusz Haluch.

Trzydziestu chorych zaraz potem poprosiło o spowiedź u kardynała Sarto i z jego rąk przyjęło Eucharystię. Promieniający wpływ świętych! Tam, gdzie inni czegoś nie zdołają, oni swym wpływem osiagają.

Zadziwiająca jest ciągłość w życiu błg. Józefa Sarto: biskupa Mantui widzi się już w proboszczu w Salzano, a następnie Leona XIII w patriarchacie Wenecji. Potępienie modernizmu, reforma muzyki kościelnej, dekrety odnośnie komunikowania, reorganizacja Kurii rzymskiej: wszystkie te dzieła Józefa Sarto jako papieża — poprzedzone były już w listach pasterskich i w czynach Józefa Sarto, kiedy był jeszcze proboszczem, czy biskupem. Opatrzność bowiem odpowiednią drogą prowadzi swych pracowników.

Nowy biskup Polski

Warszawa, dnia 25 czerwca 1951 r.

Z Sekretariatu Prymasa Polski otrzymujemy wiadomość, że Ojciec św. zamianował Księdza Dra Antoniego BARANIĄKA, Salezjanina, Kierownika Kancelarii Prymasowskiej, Biskupem Theodosiopolis in Armenia, a zarazem Biskupem Sufraganem Arcybiskupa Gnieźnieńskiego.

Nowy Biskup pochodzi z archidiecezji poznańskiej; urodził się 1 stycznia 1904 r. w Sebastianowie — parafia Mchy. Nauki gimnazjalne pobierał w zakładach św. Jana Bosko w Oświęcimiu i w Krakowie. Jako salezjanin studiował w Rzymie; posiada doktorat teologii uzyskany na Uniwersytecie Gregorjańskim i doktorat prawa kanonicznego na Apollinaris. Od roku 1933 pełnił obowiązki sekretarza osobistego Kardynała Prymasa Hłonda, z którym odbywał turlaczkę wojenną we Włoszech i we Francji. Po śmierci ś. p. Kardynała Hłonda został nadal sekretarzem i kapłanem prymasowskim Jego Ekscelencji Arcybiskupa Metropolity Wysznińskiego.

Timotea.

Wrzesień

Wrześniowe słońce blaskiem zórz rozkwita
złocąc w sadach każdą gałąź drzewa —
dokoła zapach skoszonego żyta,
— nad ziemią ostatnia blasków ulewa.

Przeminał czas dojrzwania kłosów —
pola zmierzchnię snu owiane,
z błękitnej dali z Bożych niebiosów
odchodzi słońce zadumane.

Wędrownym ptakom wybiła godzina
odlotu — w radosnym dosycie
klucze zórawi w obłokach płyną
prując skrzydłami ciszę na błękitie.

Jesienny spokój zagląda w podsienia,
w pełne zbóż śpichrze, w ciche wiejskie chaty
kończy się praca odpoczywa ziemia
strojna w pozłotę i szkarłat.

Dała nam ciężkie, pełne zbóż ziarna
polnych kwiatów radosne wesele —
niechaj jej słońce jak lampa ofiarna
na czarne łono złote blaski ściele...

Zapisz się na członka
KUL.

TYGODNIK KATOLICKI — Nr 32 — str. 291

OJCIEC UBOGICH

Profesor lingwistyki porównawczej w Sorbonie, Fryderyk Ozanam, nie myślał tego wieczora o jutrzejszym wykładzie, do którego miał jeszcze przygotować odpowiedni materiał językowy. Wiedział tylko, że musi zdążyć na konferencję Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, która w parafii św. Magdaleny zbierała się co środę o siódmej. Odkrył bowiem w jej rejonie nowe ognisko nędzy, które wymagało natychmiastowej pomocy materialnej i moralnej. Przechodząc przez bulwar Kapucynów, przeciskać się musiał przez coraz gęściej napływające tam tłumy. Zajęty swymi myślami nie zwrócił uwagi na niecodzienną tego zbiegowiska. Widząc gromady robotników idących z lampionami i pochodniami, przypuszczał, że się zbiera jakiś pochód karnawałowy. Wiele okien i sklepów iluminowano, tak, że mdłe światła lamp olejnych w latarniach nie były dziś jedynym drogowskazem w ciemnościach.

Profesor Ozanam z trudem dotarł na czas do bramy probostwa św. Magdaleny. Inni członkowie konferencji spóźnili się znacznie. Przychodzili w gorączkowym podnieceniu, napęczniali od nowin. Od nich to usłyszał profesor, z czego sam dotąd nie zdawał sobie sprawy, że od 48 godzin cały Paryż jest widownią demonstracji przeciw rządowi i poważnych rozruchów. Król Ludwik-Filip uległ już groźnej postawie tłumów, udzielił dymisji zniechęconemu reakcyjniście Guizotowi i zapowiedział reformę konstytucji. Teraz właśnie zbierają się demonstranci, by na cześć tej reformy wiwatować.

— W niczym to zadań naszych nie zmienia, kochani bracia! — oświadczył po wysłuchaniu tych nowin profesor. — Dzieło naszego wielkiego rodaka, św. Wincentego, nie wiąże się z polityką.

Gdy wreszcie modlitwa otworzyła zebranie, odczytano i przyjęto protokół z poprzedniej sesji. Fryderyk Ozanam zaczął referować, że w suternach oficyny jednej z kamienic przy ulicy d'Antin znajduje się bez środków do życia 8-osobowa rodzina Poissonów, której prócz głodu grozi wyrzucenie na bruk.

Ojciec tej rodziny, Honoriusz Poisson, ślusarz warsztatów kolejowych przy dworcu St. Lazare, wydany za pracy za pijaństwo, rzucił się onegdaj do Sekwany. Osierocił sześciu dzieci, chorowitą, niezdolną do pracy żonę, oraz jej matkę-staryszkę. Nie mają co do ust włożyć, ani w co się ubrać. Komorne na ciemne, cuchnące, do nory podobne „mieszkanie“ zalega od kilku miesięcy i właściciel kamienicy, restaurator Bonnet, wypowiedział wdowie ten lokal. Co gorsza, tenże Bonnet dał do zrozumienia, że cofnie wypowiedzenie, jeśli wdowa Poisson odda swoją najstarszą, 15-letnią córkę Ninon na rozrywkę gościom jego restauracji, mieszczącej się w domu frontowym. Wdowa chcąc ratować córkę, decyduje się wynajmować za opłatą 1000 nieboszczyka na nocleg przygodnym włóczędgom, czyli najczęściej przestępcom ukrywającym się przed okiem władz. Byłoby to przejęciem z deszczu pod rynnę. W tych warunkach „mieszkanie“ Poissonów stać się może gniazdem zgorznienia i rozpusty, której ofiarą padłaby nie tylko Ninon.

— Nieszczęście jest bliskie — kończył profesor Ozanam — może stać się jeszcze tej nocy. Proszę zatem braci o uchwalenie nadzwyczajnego zasiłku dla rodziny Poisson. Ponieważ zasadą naszą jest nie dawać ubogim do rąk pieniędzy, lecz bony na żywność, które mogą realizować w wybranym przez nas sklepie, proponuję, by prócz zwykłych bonów przyznać Poissonom na pokrycie zaległego komornego kwotę 24

franków, którą z ramienia konferencji wpłaci się wprost do rąk pana Bonnet. Będzie to miało także sens moralny, gdy restaurator zrozumie, że ci ludzie nie są na jego łasce, bo jest ktoś, kto się nimi opiekuje.

Słowa profesora ledwo przedarły się do umysłów pochłoniętych przez polityczne wypadki, przerastające ważnością losy jednej rodziny. „Bracia“ nie byli jednak zdolni przejąć się dziś tą sprawą należycie. Uchwaliliby chętnie wniosek profesora, dla którego mieli cześć ogromną, byle mogli co prędzej wyjść znów na ulicę — lecz skarbnik konferencji zgłosił zastrzeżenie, że po osatnim wykupieniu bonów pozostały w kasie tylko 4 franki i 20 centimów. A zatem do żądanej przez profesora kwoty brakowało 20 franków czyli całego złotego napoleona, co było na te czasy sumą dość poważną.

Profesor radził odczekać na wynik kwesty, jaka odbywała się na każdym zebraniu. Ale wśród kilkunastu członków konferencji nie było bogaczy, którzy by mogli wydatnie ruszyć kieszenie. Nie każdego stać było na wrzucenie do skarbonkowego całego franka. Wiadomo bowiem, że najlepszymi uczniami św. Wincentego są ci właśnie, którzy sami stoja na pograniczu ubóstwa. Tym razem jednak, gdy skarbnik obszedł z cylindrem swoim zebranych, na następne wysypał zawartość jego na stół, okazało się, że kwesta przyniosła 29 franków i 50 centimów, a wśród miedziaków i srebrniaków błyszczał złoty napoleon.

Zdumieł się „bracia“. Kto spośród nich mógł rzucić tak cenną monetę? Czy sam profesor, którego od lat nie było stać na nowe ubranie?...

Bądź co bądź jedyna przeszkoda została usunięta i uchwała o pomocy dla Poissonów, zapadła jednogłośnie, przy czym profesorowi powierzono załatwienie sprawy komornego i wręczenie bonów rodzinie. Po wysłuchaniu sprawozdań o innych rodzinach, będących pod opieką konferencji, posiedzenie zamknięto modlitwą i członkowie rozeszli się szybko.

Fryderyk Ozanam śpieszył się także, bo dawno już było po ósmej. Wracając tą samą drogą przez bulwar św. Magdaleny i Kapucynów, Słońce miało w duszy, bo wiedział, że niesie ratunek tym, co go bardzo potrzebuja.

Nagle usłyszał — całkiem niedaleko — salwę z karabinów. Po salwie krzyk straszliwy zgromadzonego na bulwarach tłumu! Setki ludzi w popłochu rzuciły się do ucieczki.

— Wojsko strzela do ludu! — niosło się nad tłumem. — Wojsko morduje lud!!!

Fala uciekających runęła na profesora. Zepchnięty z chodnika, byłby upadł i został strącony, gdyby nie znalazł oparcia we wnęce jakiejś bramy, którą natychmiast zamknęto. Z tego, co się działo, zrozumiał tylko tyle, że oto w chwili, gdy on niesie ratunek jednej rodzinie, szereg innych rodzin traci ojców, by runąć w otchłań nędzy. Serce profesora zamarło z przerażenia i bólu. Kto się nimi zaopiekuje? Kto znajdzie dla nich pomoc?

Tłum przewalił się z wolna. Na końcu jego szła zwarta grupa robotników z pochodniami. Otaczali oni wóz, na którym wieżli kilkanaście ciał zabitych świeżo towarzyszy. Wzburzenie ich było ogromne. Raz po raz buchały okrzyki:

— Śmierć królewskim mordercom! Niech żyje republika!

Ozanam zdawał się okrzyków tych nie słyszeć. Patrząc na ciepłe jeszcze, ociekające krwią trupy na wozie, myślał teraz, jak zdobyć adresy osieroconych rodzin.

— Chyba przez redakcję pism opozycyjnych! Jutro dopiero się dowiem...

Wylot ulicy d'Antin zamknięty był już barykadą. Budowano ją pośpiesznie, wyrzucając płyty z chodników, kamienie z bruku, znosząc wory z piaskiem, skrzynie, stare szafy i przeróżne graty. Przy murze było jeszcze wąskie przejście i tam się skierował profesor. Zatrzymano go jednak stanowczo i bezwzględnie. Ktoś krzyknął, żeby go zrewidować. Lecz gdy poświecono mu latarką w twarz, poznał go jeden z pracujących przy barykadzie.

— Toż to profesor Ozanam! — zakrzyknął. — Puście go! Człowiek ten uratował mi życie. Pewnie idzie do swoich biednych.

Rozstąpiono się i przepuszczono go z szacunkiem. W chwilę potem stanął przed restauracją Bonnet. Przeworny gospodarz zamknął ją od frontu, lecz zaufani i stali bywalcy wchodzili do lokalu przez sieni.

Profesor poszedł ich śladem. Mijając kuchnię, skąd wydawano posiłki, usłyszał stamtąd podniesiony głos męski, któremu wtórował rozpaczliwy płacz dziewczęcy.

— Nie myśl sobie, smarkulo — ryczał mężczyzna — że będę was trzymał w mojej czynszowej kamienicy za darmo. Musisz służyć moim gościom — albo wszyscy precz na ulicę!

— Ja chcę być uczciwą dziewczyną — łkała nieszczęśliwa — a pan ze mnie zrobi ścierkę.

Profesor nie wątpił, że mężczyzną jest sam Bonnet, a jego ofiarą — Ninon. Wszedł bez wahania do kuchni i stanął przed czerwonym z gniewu, opasłym restauratorem, który zmuszał wysmukłą, lecz wynędzniałą dziewczynę do przywdziania wieczorowego negliżu.

— Niech się pan wstrzyma, panie Bonnet! — rzekł stanowczo Ozanam. — Przyznasz panu zaległy czynsz za mieszkanie rodziny Poisson.

— Co? jak? — zdumienie odjęło tłuszczykowi mowę.

— Tak, panie! Przychodzę z ramienia Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, które wzięło w opiekę tę rodzinę. Będziemy się starali regulować słuszne pańskie pretensje, ale niech się pan nie waży wojować z biedakami szantażem! Przez szereg lat byłem adwokatem ubogich w Lyonie, więc więc znam dobrze odpowiedzialność karna tych, co zmuszają dzieci do nierządu.

— Niech mnie pan nie straszy prawem — dyszał wściekły restaurator — bo prawo jest dziś na ulicy.

— Ulica może tylko zastrzyść sankcje przeciwko tym, co wyzyskują nędzarzy! — odpowiedział dobitnie profesor.

Bonnet zrozumiał, że upierać się przy gwałcie byłoby teraz niebezpiecznie. Zresztą obecny przy scenie tej kucharz i jego pomocnik pomrukiwaniem opowiadali się po stronie profesora. Był to jakby pomruk rewolucji na własnym podwórku Bonnet.

Ozanam otrzymawszy pokwitowanie na wpłaconą kwotę, zaprowadził płaczącą — teraz już ze szczęścia — Ninon do jej rodziców. W dusznej i zimnej suterynie młodsze dzieci zmorzone głodem już spały, a wdowa Poisson klęczała przy kaganku olejnym pogrążona w rozpaczliwej modlitwie, w której wtórowała jej leżąca na barłogu matka-staryszka.

Radosny okrzyk Ninon oznajmił obu kobietom, że modlitwa ich została wysłuchana. Ocalona od hańby dziewczyna opowiedziała im przebieg zajścia w kuchni. Ozanam wręczył wdowie bony, za które w sklepie Meniera na bulwarze św. Magdaleny będzie jutro mogła nabyć żywność.

Rozjaśniło się w ciemnej suterynie. Profesor bronił się jak mógł, by go wdowa i Ninon nie całowały po rękach. Wreszcie, gdy najmłodsze dziecko obudziło się i zaczęło płakać, Ozanam wziął je na ręce i po ojcowsku uspokajać zaczął.

Działo się to w nocy 23 lutego 1848 roku, kiedy pierwszy podmuch nadschodzącej Wiosny Ludów niosł się nad wzbudzonym Paryżem.

Kazimierz Gołba.

Z diecezji

PARAFIA RADAWNICA

KOŚCIÓŁ P. W. ŚWIĘTEJ BARBARY

Wioska Radawnica leży 10 km na północ od powiatowego miasta Złotowa. Są tutaj dwa kościoły: parafialny pod wezwaniem św. Barbary i drugi poprotestancki, św. Stanisława Kostki. Parafia liczy około 2.500 dusz. Należą do niej następujące miejscowości: Kamień, Górzno, Nowy Dwór, Franciszkowo, Krzywa-Wieś, Kiełpin, Marianowo, Józefowo i Adolowo. Proboszczem tej parafii jest ks. Edwin Szveda, który przeszedł pół roku temu przybył do tej parafii. Pracy ma bardzo dużo. Co niedzielę musi wyjeżdżać do sąsiednich miejscowości, celem odprawienia Mszy św.

Szczególnie uroczystym dla nas parafian miesiacem był maj. Otóż 20 maja rozpoczęła się tutaj misja św., na którą zgłosiło się dwóch misjonarzy.

O godzinie 10-ej odbyło się uroczyste wprowadzenie misjonarzy do kościoła, następnie suma z powitalnym kazaniem.

Jeden z Ojców wyjechał do filialnego kościoła Górzna. Chciano w ten sposób ułatwić ludziom słuchania nauk i dojścia do kościoła.

W naukach parafianie brali czynny udział, tymbardziej, że było to w oktawę Bożego Ciała, którą to uroczystość wierni szczególnie pięknie uczcili procesją naokoło kościoła. Pieśniami wiernych towarzyszyły dźwięki orkiestry.

Na uroczystość zakończenia misji świętej w dniu 27 maja przybyło szczególnie dużo ludzi.

Następnie odbyło się poświęcenie krzyża misyjnego i nieszpory z ostatnim kazaniem i przeproszeniem się wzajemnym. Na zakończenie odpiewano „Te Deum” i z pieśnią „Kto się w opiekę” odprowadzono Ojców Misjonarzy do plebanii, przed którą młodzież z kwiatami i dzieci oczekiwały.

Rada parafialna w imieniu całej parafii złożyła im ostatnie podziękowanie.

Były to wspaniałe i uroczyste chwile, które nam pozostaną w pamięci na bardzo długo.

Parafianin.

LIPIANY POW. PYRZYCE

Udało się nam namówić ks. proboszcza z Lipian ks. Józefa Króla, aby udzielił łaskawie wywiadu dla Tygodnika. Nie lubi by o nim pisać, ale dał się przekonać. Tłumaczymy mu, że idzie nie o skromne nazwisko proboszcza (prosimy nie protestować, Królowie należą do zamierzchłej historii) ale o parafię Lipiany, która ze wszech miar zasługuje, aby się i o niej świat szeroki dowiedział czegoś.

Jest to parafia duża, licząca bowiem około siedem tysięcy dusz. Zastanawiamy się w jaki sposób proboszcz może tak liczną parafię obsłużyć w pojedynkę. Ale u nas, w diecezji gorzowskiej, takie rzeczy są ciągle. Gdzie się rusz proboszcz obarczony pracą, która prawie przechodzi siły jednego człowieka.

Ksiądz proboszcz jest repatriantem. Przybył do Lipian 2. VII. 1945 r. Był na tamtejszym terenie pierwszym polskim kapłanem. Objął kościół poprotestancki. Kościół ten nie wyglądał tak jak wygląda dzisiaj. Dach był uszkodzony nad prezbiterium, szyb było tylko trochę, wieża uszkodzona, organy zniszczone prawie całkiem, remont tego wszystkiego kosztował olbrzymią sumę. Wszakże parafianie złożyli na świątynię, co było potrzeba.

Balkonów protestanckich nie usunięto, gdyż nie speca świątyni. Przy dachu trzeba było przeprowadzić i dalsze prace. Nawet obecnie trwają przy nim roboty.

Ołtarz główny podniesiono i uzupełniono. Zrobiono trzy nowe tabernakula, jedno do ołtarza głównego, drugie do ciemnicy, trze-

cie do Bożego Grobu. Nie było szat, ani naczyń liturgicznych. Obecnie kościół jest należycie zaopatrzony.

Staraniem pobożnych parafian ufundowano do kościoła Drogę Krzyżową, obraz Matki Boskiej, figurę Serca Pana Jezusa, Matki Boskiej i św. Antoniego. Tę ostatnią ufundowała jedna z rodzin parafii.

Poza parafialnym jest do obsługi kościół w Mielęcinie. Mszy świętych odprawia się w każdą niedzielę od 2-3.

Życie religijne parafii pogłębiły misje, urządzone w 1948 r. Prowadził je ks. Patrzyk, doskonały kaznodzieja, znany i głośny autor licznych kazań przeważnie o charakterze ludowym. Na misję uczęszczała wielka ilość ludzi, wiele Bożych łask spłynęło w tym czasie na parafię.

Osobno były prowadzone także misje w Mielęcinie.

Rekolekcje wielkopostne urządzone są prawie każdego roku.

Proboszcz jest trochę przemęczony pracą, chciałby wikarego do pomocy. Ale to przy dzisiejszym wielkim braku kapłanów jest pieśnią przyszłości.

(G)

PARAFIA OCIAŻ

Przy linii kolejowej Warszawa—Wrocław w samym środku między Kaliszem i Ostrowem, położona jest mała miejscowość Ociąż. Tuż przy stacji rozciąga się ogromny park z kilkoma wspaniałymi okazami około tysiącletnich dębów — stąd też okupanci przezwalili miejscowość tę Schöneichel t. j. Pięknodębie. Kilometr na północ od stacji wśród pól i łąk pobagiennych tuż nad rzeczką Ciemną zachowało się ogromne, dwukoliste grodzisko przedhistoryczne z VII w. po Chrystusie.

Początki kościoła i parafii w Ociążu sięgają końca XIV wieku. Kościół do dnia dzisiejszego jest tu drewniany. Ostatni pożar, jaki strawił całkowicie kościółek miał miejsce latem roku 1785 a już w r. 1786 wzniesiono nowy, rozszerzony znacznie w r. 1925. Kościół stoi na cmentarzu grzebalnym, pięknie zadrzewionym i otoczonym solidnym murem. W r. 1883 pobudowano plebanie, której by się nie powstydzili i nasze czasy.

Przed ostatnią wojną Ociąż był posiadłością dominialną, po wojnie wskutek reformy rolnej nastąpiła parcelacja, która znacznie podwyższyła stopę życiową mieszkańców parafii. Mimo obrabowania kościoła przez okupanta z wszelkich szat liturgicznych, bielizny oraz dzwonów, w krótkim czasie po wojnie, parafianie ofiarnością swą odnowili kościół, sprawili paramenta, kupili dzwon a ostatnio w r. 1950 założono tu elektryczność. W tymże r. 1950 odbyła się pierwsza po 14 latach wizytacja biskupia i pierwsza po 16 latach Misja parafialna, upamiętniona wspaniałym krzyżem.

Ponieważ parafia liczy zaledwie 1200 dusz — do 15. III. 1950 r. nie posiadała ona swego stałego duszpasterza. Mimo to życie duchowe parafii rozwijało się prawie normalnie. Godnym podkreślenia jest fakt, że parafianie w społecznym zrozumieniu potrzeby utrzymania własnego duszpasterza zobowiązali się do całkowicie bezinteresownego uprzedzenia przydzielonej mu przez Państwo roli.

Władza Duchowna przeznaczyła w marcu ubiegłego roku do Ociąża ks. prob. Mieczysława Pomyka — duszpasterza i społecznika wielkiej miary. Dobrze pamiętają go parafie w Chojnie nad Wartą i Skórzewo koło Poznania. Kapłan pełen ofiarności i niezmordowany w pracy społeczno-katolickiej stał się dla swoich parafian duszpasterzem, ojcem, przyjacielem.

Ostatnie uroczystości Eucharystyczne, ku czci Najśw. Serca Jezusowego, dzień pierwszej Komunii św. dzieci parafii ociążkiej, były wielkimi przeżyciami wiernych zjednoczenia z Kościołem i duszpasterzem. (JJ)

Kościół i świat

— Msza św. w Rzymie za duszę śp. Kard. Adama Sapiehy. Pamięć śp. Kard. Adama Sapiehy została uczczona w Rzymie żałobnym nabożeństwem pontyfikalnym odprawionym w dniu 31 lipca br. Nabożeństwo zostało odprawione w kościele tytularnym ks. Kardynała Sapiehy — Santa Maria Nuova — w obecności członków Świętego Kolegium Kardynalskiego (Ł)

— Zmiana Mszy św. na uroczystość Wniebowzięcia N. M. P. Święta Kongregacja Obrzędów ustaliła nowe teksty Mszy św. na Wniebowzięcie N. M. P. — Introit tej Mszy wzięty jest z Księgi Objawienia „Ukaż się znak wielki na niebie”, Lekcja z Księgi Judyty, Ewangelię tworzy kantyt „Magnificat”, a Ofertorium — znany wiersz z Księgi Rodzaju: „Poloż nieprzyjaźń między tobą a niewiastą”. Kongregacja ta zarządziła też, by w Litanii Loretańskiej po wezwaniu „Królowo bez zmyły pierworodnej poczęta” — dodawać „Królowo Wniebowzięta”.

Rękopis Dantego. Prof. Riba znalazł w bibliotece watykańskiej rękopis Dantego, zawierający dużą część „Czyśca” z „Boskiej Komedii” Dantego. Obok wierszy widnieją na tym rękopisie rysunki. Uczony włoski ustalił, że rękopis jest pracą samego Dantego. Stwierdził również, że rysunki pochodzą z tej samej ręki co wiersze, więc od Dantego. Jeśli te wszystkie szczegóły okażą się prawdziwe, to odkrycie rękopisu miałoby podwójną wartość: ze względu na wiek rękopisu (początek wieku XIV) i na twórcę „Boskiej Komedii”. W niedługim czasie prof. Riba wyda w Rzymie studium poświęcone temu odkryciu.

— Anglikanizm i masoneria. Powszechną uwagę kół religijnych na Zachodzie zwrócił artykuł duchownego anglikańskiego, Waltona Hannaka, zamieszczony w miesięczniku Theology, a dotyczący stosunku kościoła anglikańskiego do masonerii. Autor artykułu twierdzi, że wielką część duchownych anglikańskich należy do masonerii, która przecież neguje podstawowe dogmaty chrześcijaństwa, i — co więcej — ci masoni znajdują się wśród najwyższych członków hierarchii kościelnej (mówi się np., że do masonerii należy obecny prymas anglikańskiego kościoła, Fisher, co jednak nie jest stwierdzone). Hannak zapowiada, że pewna część duchowieństwa wnieśli na najbliższą „konwokację” (synod) anglikańską wniosek o zbadanie stosunku anglikanizmu do masonerii. Hannak pisze, że według ustaw masonerii jej członek w żadnym wypadku nie może zdradzić jej tajemnic, a to „po co kara, że będzie mu wyrwany język, jego gardło będzie przecięte od ucha do ucha, a jego ciało będzie pogrzebane pod warstwą piasku zalewanego przez przyływ morza.” Ciekawe, co z tej inicjatywy wyniknie.

— Odkrycie ruin starożytnego pałacu w Jerycho. Pomimo niespokojnej sytuacji politycznej badania archeologiczne na terenie Ziemi Świętej nie ustają. Jak donosi prasa zagraniczna ostatnio odkryto ruiny pałacu z czasów króla Heroda, w pobliżu starożytnego miasta Jerycho. Odkrycia dokonano przypadkowo. Oto bowiem pewien wieśniak, który hodował na swym polu pomidory, spostrzegł, że w jednym miejscu pomidory stale usychały. Po usunięciu cienkiej warstwy ziemi zauważył głęboko sięgający mur. Była to właśnie jedna ze ścian pałacu, który po odkopaniu okazał się wielką i piękną budowlą, składającą się z 36 sal, z dziedzińcem otoczonym kolumnadą na wzór starożytnych pałaców.

Gorzów w oczach turysty

Będą tu uwagi i spostrzeżenia luźne, takie jakie prawie każdy turysta rzuca na kartki swego podróznego notesu. Oczywiście, daleko im do tej dokładności, która powinna cechować każdy dobry, bezstronnie napisany reportaż. Nie jest to jednak ważne. Ważne jest to, że uwagi te odnoszą się do Gorzowa miasta, któremu „Tygodnik Katolicki” nie poświęcił dotąd ani stu wierszy. Zresztą nic w tym dziwnego. — „Tygodnik” wychodzi w Gorzowie, a wiadomo, że pisanie o mieście, w którym się mieszka łatwo może być poczytane za objaw chłopięcego samochwalstwa. Toteż poza sprawozdaniem z uroczystości i opisami parafii nic o Gorzowie nie słyszeliśmy. A jest o czym słyszeć.

Gorzów jest miastem kilkudziesięciotyśięcym harmonijnie rozbudowanym, — szkoda tylko że poturbowanym mocno przez wojnę. Jak w wielu miastach zachodnich oсыpiska gruzów szpecą tu najładniejsze zakątki nadwarciańskiego grodu. Gorzów to miasto rozległe, siedziba wielu instytucji państwowych, społecznych i kościelnych (Ordynariat Gorzowski) i nieoficjalnie stolica Ziemi Lubuskiej. Ten „stołeczny” charakter Gorzowa podnoszą jeszcze tramwaje, z których Gorzowianie są bardzo dumni. Po takiej krótkiej charakterystyce — zaczynamy od początku, czyli od dworca kolejowego, na który wjechał nasz pociąg.

Dzień był słoneczny, błękitny, prawdziwie letni kiedy wyszedłem z dworca Gorzów-Zamoście udając się do miasta.

Warta, która w Gorzowie prezentuje się naprawdę okazale, dzieli miasto na dwie duże części: Gorzów właściwy i Gorzów-Zamoście. Tę drugą część zwa niekiedy również Zawarciem. Most łączący oba brzegi Warty został poważnie zniszczony na skutek działań wojennych. Tymczasem zastąpił go równoległe doń zbudowany most drewniany. Przed kilkoma tygodniami ukończono wreszcie uszkodzony most i otuchy Gorzowian z zadowoleniem i radością obserwowały pierwszy tramwaj ruszający na Zamoście.

Jest to już drugi fakt mający duże znaczenie dla rozwoju miasta. Pierwszym było otwarcie olbrzymiej Fabryki Sztucznych Włókien, o czym pisała cała polska prasa. Otwarcie nastąpiło przy udziale przedstawicieli najwyższych władz państwowych i miało przebieg niezwykle uroczysty. Gorzów przeżywał swe wielkie dni. Obecnie powrócił do stanu normalnego życia. Jest trochę sefny, spokojny, jakby nieco za wielki na liczbę mieszkańców, którą w sobie zawiera. Przed wojną liczył Gorzów ponad 48 tys. ludzi (podaje za „Der Volks-Brokhhaus, Leipzig 1941). Niestety, zniszczenia wojenne uniemożliwiły zasiedlenie tego ważnego ośrodka przemysłowego w granicach normalnych. Typowy los naszych zachodnich miast. Za to w czasie targów czywia się Gorzów nadspodziewanie: ulice, sklepy, restauracje, kina (jest ich tu dwa) pełne są ciżby ludzkiej.

Mówiąc o Gorzowie niesposób zapomnieć o znanym w całej Polsce Państwowym Instytucie Weterynaryjnym ze specjalnym działem Lecznictwa Pszczół, o Zakładach „Ursus”, o podobno największych w Polsce Gorzowskich Zakładach Roszarniczych oraz o katedrze. Ciężki surowy gotyk góruje nad całym miastem masywem potężnej wieży. Nie ma ona w sobie strzelistości i smukłości tak charakterystycznej dla stylu gotyckiego: podobna jest raczej do średniowiecznej baszty obronnej (pomijamy — rzecz jasna — różnice objętościowe). Gorzów posiada liczne parafie (pisał o nich niedawno nie-

strudzony Grzybowski), Wyższe i Niższe Seminarium Duchowne, Dom Diecezjalny oraz inne instytucje o charakterze religijnym.

Błądziłem po mieście długo. Przypatrzywałem się ciężkim barkom na Warcie, dzieciątkom zwolenników kąpeli, których upał wypędził na plażę, zaszedłem do katedry i do kościoła na Zamościu (kościół ten wyróżnia się piękną nowoczesną wieżą), wreszcie znużony zapragnąłem odpocząć w małym parku, przez który przechodzi się idąc na dworzec zawarciański. Tu spotkało mnie niemiłe rozczarowanie. Par ten — bez przesady — przypomina śmietnik: wydeptane trawniki, bujne chwasty, nieczystości, papiery, odpadki, i tym podobne okazy braku kultury. Nie wiem do jakiej instytucji trzeba by apelować w tej sprawie: czy do Ligi Ochrony Przyrody, czy Zakładu Oczyszczania Miast, czy może do Stowarzyszenia Ludzi o Zdrowym Rozsądku (jeśli takowe w przyszłości powstanie), którzy dbając o estetyczny wygląd miasta, zaopiekowaliby się opuszczonym parkiem. Park zajmuje miejsce w bliskiej odległości od dworca Gorzów-Zamoście. Śmiem wątpić, czy podróży, który przejdzie przezeń, nabierze miłego wyobrażenia o Gorzowie. Gorzowianie, do roboty. Nie pozwólcie, aby wasze piękne miasto szpecił wcale niepiękny a nawet zgoła obrzydliwy wygląd parku.

Rozmaitości śladami O. Damiana

Jak podaje paryska „La Croix”, w maju br. zmarł na wyspie Makogai, położonej na Oceanie Spokojnym, w zakładzie chorych na trąd, O. Leon Lejeune, który udał się na wyspy Pacyfiku w celach misyjnych w r. 1901. Uległszy zarażeniu trądem, O. Lejeune zmuszony był ostatnie 16 lat życia spędzić w leprozorium (trędownia), odcięty całkowicie od świata. W tym czasie oddał się on całkowicie swym współtowarzyszom niedoli — trędowatym i dopóki tylko siły mu na to pozwalały, asystował przy Mszach

św. grając na fisharmonii. Obdarzony wybitnymi zdolnościami muzycznymi, komponował liczne pieśni dla ludów Oceanii, znał bowiem wielki wpływ śpiewu na psychikę tych ludzi, którzy bardzo lubią śpiewać. O. Lejeune pozostawił po sobie pamięć kapłana o wielkim sercu, przepelnionym miłością Boga i cierpiących bliźnich. Nazwisko jego zapisało się chlubnie w martyrologii duszpasterzy Pacyfiku, obok O. Damiana, Nicouleau i innych.

2000-lecie Paryża

W tym roku przypada 2000-letnia rocznica założenia Paryża jako stolicy Galii — jeszcze przed podbiciem tegoż kraju przez Juliusza Cezara — pod nazwą Lutetia Parisiorum. Symboliczną datę jubileuszu ustalono na 8 lipca br., uroczystości jubileuszowe rozpoczęły się jednak już w kwietniu i będą trwały do końca roku. Na program tych uroczystości składają się liczne imprezy artystyczne, koncerty starej muzyki francuskiej, widowiska teatralne i, na otwartym powietrzu, odtwarzające różne wydarzenia historyczne, jakie Paryż przeżywał, w muzeach odpowiednio zorganizowane wystawy, nadzwyczaj bogate iluminacje itp. Od dłuższego czasu na placu przed katedrą Notre-Dame odgrywane jest wspaniałe misterium średniowieczne Męki Pańskiej, w którym występuje ponad 1000 aktorów i statystów.

Na marginesie jubileuszu Paryża warto wspomnieć, iż Paryż nie jest jedynym miastem na świecie o tej nazwie. Istnieje bowiem w Stanach Zjednoczonych 19, w Kanadzie 3, a w Południowej Afryce 1 miasto, noszące również nazwę „Paryż”. Komitet jubileuszowy Paryża — stolicy Francji — zaprosił na swe uroczystości wszystkich burmistrzów tychże 23 miast noszących tę samą nazwę, przyjął przez ich założycieli — prawdopodobnie emigrantów francuskich — przez sentyment do stolicy ojczystego kraju.

PODZIĘKOWANIE

Za liczne łaski odebrane w ciągu ostatnich lat składam Najśladzszemu Sercu Jezusowemu, Niepokalanemu Sercu Maryi oraz św. Expedytowi za jego przemożne orędownictwo serdeczne podziękowanie.

H. W.



Zakład Budowy Organów

KOŚCIELNYCH, KONCERTOWYCH
NAJNOWSZEJ KONSTRUKCJI

Przebudowy, reperacje i kontraktowe strojenie organów

Dostarczanie motorów do zapędu powietrza, nowych piszczałek metalowych do wszelkich systemów organów oraz wszelkich w zakres wchodzących części.

LUDWIK SAGANOWSKI
mistrz budownictwa organów

POZNAŃ
ul. Grudzieniec nr 111 — Telefon 501 — 04
Dom własny

Wydawca: Ordynariat Gorzowski. Redaktor: X. Kazimierz Łabiński.
Adres Redakcji i Administracji: Gorzów n/W., ul. Drzymały 36. Telefon 739.
Rękopisy niezamówionych nie zwraca się.
Prenumeratę przyjmuje P. P. K. „Ruch” Poznań, ul. Kantaka 8—9.
P. P. K. O. V-11831/110. Prenumerata miesięczna 2,80 zł, kwartalna 8,40 zł.
Tłoczono w Wlkp. Zakładach Graficznych — Zakład w Kościanie — 1086 — 8. 51.
K-2 — 15351 — 25. 8. 51 Druk ukończono 29. 8. 51.